

■ O potrzebie zwołania kongresu polskiego łowiectwa

Zacnę od stwierdzenia, które mimo swojej oczywistości dla dużego grona myśliwych może stanowić wręcz herezję: polskie łowiectwo to nie Polski Związek Łowiecki. Zatem reformowanie łowiectwa nie polega na reformowaniu Związku i *vice versa*. Działacze związkowi powinni się wykazać odpowiedzialnością i rozwikłać podstawową kwestię: jaką korzyść odnosi polskie łowiectwo dzięki temu, że to właśnie PZŁ nim kieruje? Odpowiedź na tak postawione pytanie winna być całkowicie szczerą i udzieloną bez jakichkolwiek wstępnych założeń. Podobnie jak nie ma ludzi niezastąpionych, tak nie ma niezastąpionych organizacji. Nasz Związek przejawia wiele wad, a wszystkie biorą się z tego, że przyzwyczaił się do życia w luksusie jako monopolista.

Chciałbym zostać dobrze zrozumiany – nie przeciwstawiam naszego łowiectwa Polskiemu Związkowi Łowieckiemu, podobnie jak odrzucam argumenty, że PZŁ to jedyna emanacja polskiego łowiectwa. Jednak sprawę trzeba postawić jasno: Związek jest w stosunku do łowiectwa bytem zaledwie wtórnym. Co nie znaczy, że pozbawionym istotnego znaczenia. Dyskusja powinna się więc toczyć równoległe między myśliwymi o łowiectwie i między działaczami PZŁ o Związku, którym zawiadują i za którego kondycję ponoszą odpowiedzialność. To właśnie ci działacze winni przygotować propozycje Związku dla myśliwych. Natomiast ci ostatni muszą sobie odpowiedzieć na kilka podstawowych pytań, które stawiam niżej. Najlepszą okazją ku temu byłby kongres polskiego łowiectwa, całkowicie wolny od statutowego, związkowego gorsetu.

■ Po co w ogóle to łowiectwo?

Gdy odbywałem staż myśliwski, zapytałem mojego wprowadzającego, co czuje, kiedy uśmierca zwierzę. Dla ponad 30-letniego już wówczas człowieka zamierzającego zabijać zwierzęta pytanie wydawało się oczywiste. Po chwili zadumy kolega odparł, że się nad tym w ogóle nie zastanawia. Po prostu idzie na polowanie, zasadza się, strzela, trafia, patroszy, wiezie do skupu albo gotuje. I tak od lat. Wykreślił uśmiercanie ze świadomości. Pomiędzy strzałem, trafieniem a patroszeniem nie znalazł miejsca na refleksję nad odbieraniem życia.

Gdy przypominam sobie to zdarzenie, dostrzegam analogiczny proces, który zaszedł u reszty społeczeństwa – choć jemy nieprzebrane ilości mięsa, to wymazaliśmy

fakt, że jakiś czas wcześniej stanowiło ono część żyjącego zwierzęcia oraz że ktoś je dla nas uśmiercił i że za owo uśmiercanie *de facto* sami płacimy, bo jego koszt wliczono w cenę każdego hamburgera. Oczywiście nawet mieszczuch wie, jak wygląda świnia czy krowa, ale między ich obrazem a talerzem nie ma już nic. Dlatego reportaż o rzeźniach, do których zwożono chore krowy, wywołał szok (choć krótkotrwały i już zapomniany).

Śmierć w XXI w. jest nikomu niepotrzebna, tak samo jak niepotrzebni są ludzie brzydki czy po prostu inni niż ci odpowiadający wielkomiejskiemu mainstreamowi. Myśliwych społeczeństwo wiąże zaś głównie z czymś brzydkim, np. pewien dziennikarz – z brzuchatymi facetami w walonkach, strzelającymi do saren. Ale polujący konotują przede wszystkim śmierć, a skoro jej podobno w naszym życiu nie ma, to nie powinno w nim być też tych, którzy z nią się kojarzą, czyli właśnie myśliwych. I czy tego chcemy, czy nie, musimy się zmierzyć z takim postrzeganiem łowiectwa.

Powtarzam po wielokroć i będę powtarzać do znudzenia – prawo polowania w XXI w. daje nam społeczeństwo, a zatem i ono może nam je odebrać, myśliwi nie mają zaś podstaw, by żądać prawa polowania. A już na pewno nie wynika ono z samego faktu bycia myśliwymi i członkami PZŁ. Prawo polowania otrzymujemy jako przejaw stwierdzenia naszej użyteczności dla społeczeństwa; gdy społeczeństwo uzna, że myśli-

wi przestali mu być potrzebni, po prostu ich zlikwiduje. Co to oznacza? Ano nic innego niż konieczność wyjaśnienia ogółowi, jakie korzyści osiąga z tego, że daje określonej grupie osób prawo do uśmiercania zwierząt. To podstawowe pytanie, na które musimy sobie odpowiedzieć w XXI w. Tymczasem szukamy rozwiązania niejako od tyłu – mówimy o wielowiekowej tradycji, o zdrowotnych walorach dziczyzny, o zaangażowaniu się w sprawy rolników, o wyręczaniu państwa w jego obowiązkach etc. A wszystko to – choć ważne – jest wtórne. I przede wszystkim możliwe do uzyskania innymi metodami, bez konieczności znoszenia myśliwych w państwowym lesie czy na prywatnych polach.

Argument, że łowiectwo towarzyszyło ludzkości od zawsze, też nie chwyci. Bo i co to za argument? Wiele rzeczy istniało w społeczeństwie przez wieki, lecz zniknęło. Jeszcze 100 lat temu zezwolenie kobietom na głosowanie w wyborach było dla świątliwych Europejczyków czymś nie do pomyślenia. Dziś nie do pomyślenia byłoby zastrzeżenie prawa głosu tylko dla dorosłych mężczyzn. Czy naprawdę trudno sobie wyobrazić funkcjonowanie społeczeństwa bez myśliwych? Jeśli komuś nie przychodzi to łatwo, to proponuję przypomnieć sobie, czy jeszcze pięć lat temu komuś mieściło się w głowie ustanowienie zakazu pójścia z dzieckiem na polowanie. A obecnie to fakt, z którym musimy się godzić. To, co wczoraj wydawało się absurdem, dziś staje się rzeczywistością! Przed



Fot. ADP

nami sporo pracy nad rozważaniem pytania, po co w ogóle jesteśmy. Zdaję sobie sprawę z wręcz filozoficznego charakteru odpowiedzi, ale bez niej wszystko inne nie ma sensu.

■ Myśliwy – czyli kto?

No właśnie, kim jest dzisiejszy polski myśliwy? Odpowiedź powinien znać PZŁ i z miejsca jej udzielać. Tymczasem nawet nie przypuszczam, by w ogóle ostatnio zadawał sobie to pytanie. Przeprowadzenie gruntownych badań naszego środowiska, przede wszystkim zaś przeanalizowanie jego przekroju społecznego, to absolutna konieczność. Wręcz palące jest zebranie listy zagrożeń, obaw oraz potrzeb polskich myśliwych. Trzeba ich zapytać o postrzeganie przez nich własnej roli w społeczeństwie oraz o ich odczucia, jak są odbierani przez to społeczeństwo, z podziałem na poszczególne jego grupy. To zadanie powinien wykonać np. profesjonalny (a przy tym rozumiejący specyfikę łowiectwa) instytut, dla którego mogłoby to zresztą stanowić poważny projekt badawczy. Dopiero poznawszy wyniki takich badań, dowiemy się, kim jesteśmy.

A gdyby tak się zorganizować i przeprowadzić wspomniane badania samodzielnie, w rozlicznych portalach społecznościowych? Pojawiają się już nawet koncepcje, w jaki sposób to zrobić. Trzeba tylko zacząć!

■ Łowiectwo – ale gdzie?

Obecnie jako gałązka gospodarki rolniczej my gdzieś pomiędzy dwoma konarami: rolnictwem i leśnictwem. Nie bez kozery piszę o gałązce. Mrzonką jest bowiem to, że stowimy gałąź gospodarki. Rolnictwo postrzega nas jako służbę, zresztą krnąbrną. Leśnictwo nas toleruje. Gdyby się nad tym głębiej zastanowić, to dałoby sobie radę z populacjami jeleniowatych i bez nas. Wystarczyłoby zwiększyć zatrudnienie w Lasach Państwowych o tysiąc etatowych myśliwych albo przekwalifikować już zatrudnionych – duża część leśników przecież sama poluje. Dziką sprzedawano by jak drewno. Problem łowiectwa zostałby wówczas sprowadzony do szkód w uprawach i ustalenia, kto ma się zająć tym aspektem gospodarki rolnej. I nie oszukujmy się – skoro można obsłużyć szkody rolne powstałe z przyczyn naturalnych (susze, powodzie, huragany, przymrozki, epidemie), to równie dobrze można w tym samym trybie obsłużyć szkody łowieckie. To tylko kwestia nakładów budżetowych, ale akurat tą kwestią w naszym kraju mało kto się do tej pory przejmował.

W tym miejscu wracamy do postawionego już wcześniej pytania: komu jesteśmy po-

trzebni? Albo inaczej: która część społeczeństwa może nas potrzebować? Odpowiedź nasuwa się sama – jedynie rolnicy. Reszta to dodatek.

Zasygnalizowany powyżej problem nie zrodził się wczoraj. Istniał co najmniej od lat 90. XX w., gdy rolnictwo wkroczyło na zupełnie nowe tory, a po wejściu do Unii Europejskiej jeszcze bardziej się profesjonalizowało. Tyle że nikt w PZŁ tego nie dostrzegł. Czołowi działacze, zamiast się zmierzyć z nieuchronnymi zmianami i przygotowaniem adekwatnych reform, zdecydowali się na zupełnie inną drogę – polityczne lawirowanie i obronę Związku (w ich mniemaniu zaś polskiego łowiectwa, bo mówiąc „łowiectwo”, myśleli o PZŁ) przez regulacje prawne, które siłą rzeczy stanowiły efekt politycznych targów, zakulisowych układów i powiązań personalnych. Sztukę ochrony PZŁ na płaszczyźnie politycznej opanowano wtedy do perfekcji i tak samo próbowano poradzić sobie z kryzysem w 2018 r. Potencjalnie wyglądało to nieźle – wszak protektorat nad Związkiem sprawował ówczesny minister środowiska, sam mający jeszcze potężniejszego protektora. Niestety wówczas się okazało, że w całkowicie zmienionych realiach siła polityczna PZŁ jest w istocie żadna, relacje ze Związkiem są dla polityków wręcz toksyczne (przypomnijcie sobie, jak się zachował poseł Jerzy Gosiewski, zresztą myśliwy i leśnik), natomiast sam PZŁ jest wobec ataków ze wsząd całkowicie bezbronny. Udzielni księżęta polskiego łowiectwa okazali się nadzy, ich upadek obnażył zaś fasadowość samego Związku. Miał chronić łowiectwo, a zostało ono wystawione na strzały z każdej strony, stało się nomen omen celem polowania dla każdego zielonego, który chciał na tym ubić interes. I taki stan trwa do dziś.

W efekcie pozycję polskiego łowiectwa trzeba budować od fundamentów, umiędzociwszy ją w tym układzie polityczno-społeczno-gospodarczym, w którym ma największe szanse na przetrwanie i rozwój oraz będzie mogło się bronić i liczyć na realne wsparcie. Czas już odłożyć, niestety na długo, myśli o powrocie do pełnej samodzielności Związku. Dziś zresztą mamy taki sam dylemat co polskie elity po kongresie wiedeńskim: starać się przetrwać pod zabarami i chronić drogie nam wartości czy też wszczynać kolejne powstania i bić się o niepodległość? W naszym przypadku insurekcja nie wchodzi w grę (iluż myśliwych się zjawilo na sławetnej demonstracji i jak się zachowali ówcześni liderzy Związku na wszystkich szczeblach?), więc jedyne, co pozostaje, to ułożyć się z silniejszym. Ja za takiego ►

uważam ministra rolnictwa. No, chyba że ktoś mi wskaże kogoś silniejszego.

■ Organizacja elitarna czy powszechna?

Elitarność łowiectwa przed II wojną światową wynikała z jego ścisłego powiązania z klasą społeczną, która polowała. Tworzyła ją wówczas rzeczywista elita, zatem i łowiectwo w jej wydaniu było elitarne. Po wojnie łowiectwo pozbawiono tej elitarności, proponując w zamian powszechność organizacji. Tę jednak skrupowano więzami podległości władzy komunistycznej. Stanowiło to zresztą jeden z elementów rewolucji społecznej, która zaszła w Polsce w latach 40. i 50. ubiegłego wieku, a którą znakomicie opisał prof. Andrzej Leder w „Przeźnionej rewolucji. Ćwiczeniach z logiki historycznej”. I cel osiągnięto – myśliwi przemienili się w swoistą elitę społeczną, choć z biegiem czasu coraz bardziej spisała.

Z drugiej strony liczba myśliwych w relacji do ogółu polskiego społeczeństwa odpowiada raczej zrzeszeniu elitarnemu niż powszechnemu. Problem w tym, że dzisiejsza elita społeczna (intelektualna, polityczna, biznesowa, kulturalna) zwykle stroni od łowiectwa. Znakomita większość koleżanek i kolegów po strzelbie uzna to za obrazoburcze, ale ja uważam, że należałoby poważnie przedyskutować kwestię powrotu łowiectwa do jego elitarnego charakteru. Ani dzisiaj, ani jutro nie ma ono żadnych realnych szans na bycie powszechną formą aktywności.

Nie oznacza to, że ową elitę powinni tworzyć ci z grubszym portfelem. Bynajmniej. Zwłaszcza że znakomita większość z nich w pojęciu elity się absolutnie nie mieści, a spora część pewnie wciąż nosi białe skarpetki do czarnych mokasynów. Łowieckiego establishmentu poszukiwałbym wśród lokalnych liderów społecznych, bez względu na wykonywany przez nich zawód czy zasobność portfela. Nowa elita łowiecka to ludzie, którzy łowiectwu się poświęcają, lecz mają do tego także odpowiednie wykształcenie i kompetencje oraz mimo wszystko zaplecze finansowe. Bo nie ukrywajmy – myślistwo będzie coraz kosztowniejsze. Elitarność łowiectwa winna istnieć poza lasem, bo właśnie tam jest z nią dziś najslabiej. W samym lesie, na linii, wszyscy pozostaniemy równi, bez względu na to, jak drogą broń nosimy. Podsumowałbym to hasłem: „Elitarność łowiectwa, egalitarność myśliwych”.

■ Więc po co ten kongres?

Wcześniejsze pytania nie są jedynymi, które trzeba publicznie zadać i przedyskutować. Podobnie zarysowane problemy nie są jedynymi, przed którymi stajemy. W całym tym bagnie, w którym od lat się pograżało i w końcu utknęło polskie łowiectwo, widać jednak co rusz cenne oddolne inicjatywy. W masie 130 tys. myśliwych ujawniają się wyjątkowe jednostki – dla nich łowiectwo stanowi wartość nadrzędną i są gotowi o nie walczyć, poświęcając swój czas i swoje środ-

ki oraz oferując kolegom własne kompetencje zawodowe. Z wolna tworzy się nowa elita – myśliwi wykształceni, profesjonalni, dojrzały, a przede wszystkim nowoczesni.

Z własnego doświadczenia wiem (i piszę to ze szczerą przykrością), że dziś głównym przeciwnikiem realnych, koniecznych zmian w naszym łowiectwie są zasiadający działacze związkowi bądź ich wychowankowie, dla których każdy rok trwania na jakimkolwiek stanowisku to wartość nadrzędna. Ich naczelnym hasłem, wręcz dogmatem, jest obrona polskiego modelu łowiectwa, rzekomo najlepszego na świecie. Rzecz w tym, że ten model może i był optymalny przed dziesiątkami lat (bo z tej perspektywy trzeba nań patrzeć), lecz dziś po przemyśleniu i przedyskutowaniu sprawy zapewne okaże się on anachronizmem. Uchylenie się od publicznej dyskusji na ten temat bądź jej tłumienie nie obroni łowiectwa. Przeprowadzenie takiej debaty na łonie PZŁ jest niemożliwe; nie da się tego zrobić także na zjazdach delegatów. Stąd idea kongresu polskiego łowiectwa – oderwanego od związkowych spraw forum całkowicie otwartej wymiany poglądów, a przede wszystkim przyczynku do opracowania koncepcji łowiectwa w XXI w.

Polskie łowiectwo to wielki projekt. Najwyższy czas, by nasz głos jako polskich myśliwych wybrzmiał. Zwołajmy zatem ten kongres. Byłby on najlepszym dowodem na to, że polskie łowiectwo jeszcze nie zginęło!

Krzysztof S. Grochalski

■ Sympatyczni lokatorzy

Jestem długoletnim członkiem Koła Łowieckiego Leśników „Darz Bór” w Toruniu, gdzie rygorystycznie przestrzega się zasad selekcji zwierzyny płowej, co widać na poniższym zdjęciu. Ekspozycja tej ciekawej kolekcji trofeów została pomyślana tak, aby przechodzący w pobliżu przeciwnicy łowiectwa mogli się przekonać o niskiej

wartości hodowlanej odstrzelonych kozłów. Nadmienię, że prawie każdy z nich był zarażony różnego rodzaju pasożytami.

Mój dom stoi w odległości 500 m od dużego kompleksu leśnego, a jednak sójki – ptaki leśne – wybrały na miejsce uwicia gniazda moje trofea i skutecznie wyprowadziły z niego cztery podloty. Dodam



jeszcze, że w szczelinach odciętych czerepów znajdują się liczne chitynowe wylinki, oprędy i kokony, które niezłomie świadczą o wykorzystaniu parostków również przez owady. Tak więc ekspozycja trofeów na zewnątrz budynku nie tylko realizuje cele dekoracyjne i edukacyjne, lecz także służy ptakom i owadom. Sprawdza się powiedzenie, że w przyrodzie nie ma pustki i wszystko jest właściwie wykorzystane.

Tekst i zdjęcia Tadeusz Tosik